

Nie ucz się słówek UCZ SIĘ ZDAŃ

Prosty, oparty na badaniach sposób nauki
języków bez wkuwania słówek



spis treści i darmowy fragment książki

<https://sekretypoliglotow.pl/zdania>

SPIS TREŚCI

W POSZUKIWANIU METODY 11

Nie masz szans	11
Opowieść babci	17
Książka, od której wszystko się zaczęło.....	20
Jak zostać poliglotą?.....	24
Nie otwieraj drzwi obcym.....	29
Nauka słówek	35
Cztery problemy, które musisz pokonać	39
Dlaczego diabeł lubi listy słówek.....	43
Lekcja z Iranu o tym, jak uczy się mózg	48

CZTERY ŻYWIÓŁY W NAUCE JĘZYKÓW 57

Jak najbardziej lubisz się uczyć?.....	57
Woda	65
Ziemia	68
Powietrze	70
Ogień.....	72
Więcej niż jeden żywiół.....	75

METODA TŁUMACZENIA ZDAŃ..... 81

Zaczął się od papierowych karteczek	81
Eksperyment, który nie powinien się udać	84
Mapa metody	86

KROK 1 – WODA..... 91

Czego uczą nas studenci z Japonii	91
Jak długie powinny być zdania?	95
Jak dobierać zdania do nauki?.....	97
O tłumaczeniu, które nie musi być idealne	98
Uczysz się nie tylko uszami.....	100
Podsumowanie	102

KROK 2 – ZIEMIA..... 103

Czym nie jest gramatyka?	103
Dziecko kontra dorosły.....	106
Nie bój się tłumaczyć słowo w słowo	109
Kto ma ci to wszystko wytłumaczyć?	111
Jedna różnica, inne znaczenie	113
Co zrobić, gdy utkniesz	116
Podsumowanie	117

KROK 3 – POWIETRZE 119

Przełomowy etap	119
Jak tłumaczyć zdania w praktyce?	120
To chyba nie ma sensu	121
Od próby do poprawnego wzorca.....	123
Gdy język nie chce przejść przez gardło.....	124
Praktyczne wskazówki	127
Kiedy przejść dalej?	129

KROK 4 – OGIĘĆ..... 131

Dlaczego mówienie jest takie trudne?.....	131
Gdy masz tylko pałeczki	132
Upraszczenie w praktyce	133
Niech twój rozmówca się martwi	135
Jak ćwiczyć mówienie i się przy tym nie stresować?	136
Na językowym oceanie.....	140
Jak stosować przećwiczone „wyspy” w rozmowie?.....	142

4 Nie ucz się słówek, ucz się zdań

Błędy	143
Podsumowanie	147

WODA – NARZĘDZIA I TECHNIKI 149

Zaskakująca korzyść	149
Dlaczego twój nauczyciel mówi niepoprawnie?	153
Wewnętrzna bariera	155
Jak ćwiczyć bez wysiłku?	158
Czego słuchać?	162
Co robić, gdy jest za trudno?	166
Mózg nie znosi próżni	168
Słuchanie z podpórką.....	170
Geniusz ze Świebodzic	173
Zagrajmy w grę.....	178
Skandynawia i angielski	180
Jedna osoba. Jeden temat. Jeden język.	182
Podsumowanie	183

ZIEMIA – NARZĘDZIA I TECHNIKI 185

Wstęp.....	185
Czy ten krok jest potrzebny?	185
Czy warto korzystać z książek do gramatyki?	189
Ucz się poziomo.....	192
Używaj porównań	196
Nazywaj rzeczy po swojemu	199
Czytaj intensywnie.....	200
Wymowa też zaczyna się od obserwacji	202
Podsumowanie	207

POWIETRZE – NARZĘDZIA I TECHNIKI..... 209

Kurs przyspieszony dla żołnierzy	209
Rada szachowego mistrza.....	213
Powtórz i zapamiętaj	217
Wszystko zaczęło się od pandy.....	221
Zastosuj tę technikę i.....	227

Jak ćwiczyć wymowę?	231
Mów od końca	233
Bądź jak Przemek	237
Podsumowanie	242

OGIEŃ – NARZĘDZIA I TECHNIKI 245

Zacznij tańczyć	245
Najwspanialszy rozmówca.....	246
Metoda z Brazylii	247
Bariera językowa	256
Jak przełamać barierę?	263
Jak opanować stres?	268
Czego nauczył mnie dzień spędzony w Komecie	271
Marzenie z dzieciństwa	275
Zejdź na ziemię.....	280
Krasnoludki pomogą ci mówić naturalnie	283
Jak zacząć mówić, nawet jeśli nie znasz wszystkich słów	287
Podsumowanie	295

JAK NIE ZAPOMNIEĆ..... 299

Pani Barbara	299
Wszystko zaczęło się od Ebbinghaus.....	303
Polski matematyk wkracza do akcji	307
Jak powtarzać?	312
Powtórki na papierze	318
Czego uczą nas brytyjscy pocztowcy?	321
Jak działa nasza pamięć?	324
Zrozumieć, by zapamiętać	327
Gdy KGB uznaje cię za szpiega	331
W poszukiwaniu złota	336
Trzy rodzaje pamięci.....	345
Haczyki.....	346
Gniew Posejdona	349
Gdy twój dom staje się pałacem	352
Wieszaki, PAO i polski major	354

Jak zapamiętać rodzaje rzeczowników?	361
Jak zapamiętać słówka?	363
Słowa abstrakcyjne	366
Jak stosować mnemotechniki, gdy uczysz się wielu języków ...	368
Nie potrafię zapamiętać skojarzenia!.....	370
Czy warto jeszcze uczyć się języków?.....	371

JAK ZNALEŹĆ CZAS NA NAUKĘ..... 377

Khushbu uczy się polskiego	377
B1 w rok – czy to możliwe?	382
Nauka w przyspieszonym tempie	385
Twój pluszowy miś.....	388
Wiewiórka i jazz	391
Jak wyznaczać językowe cele?.....	394
Trzy poziomy.....	396
Autor komiksów i jego rady	399
Krzywa motywacji	401
Dlaczego się nie udaje?.....	406
Czy można zabrać małpie latarkę?	411
Zabawa z językiem	413
Zimne prysznic a nauka języków	417
Podsumowanie	421

METODA W PRAKTYCE..... 423

Czterech wyjątkowych uczniów	423
Droga na królewskie salony	425
Cyrkowa scena	430
Obowiązek i nagroda.....	438
W ciągłym ruchu.....	441

ZAKOŃCZENIE 449

PODZIĘKOWANIA 455

W POSZUKIWANIU METODY

Nie masz szans

Czy pamiętasz swoje marzenia z dzieciństwa? Kim chciałeś zostać? Kim chciałeś być? Każdy z nas choć raz zamykał oczy i wyobrażał sobie swoją przyszłość. Będę nauczycielką, która pomaga małym dzieciom pisać pierwsze litery. Zostanę lekarzem dumnie noszącym stetoskop na szyi, albo pierwszym człowiekiem na Marsie, przed którym roztacza się bajeczny krajobraz czerwonej planety.

Jako mały chłopiec uwielbiałem kreskówki z królikiem Bugsem i kaczorem Duffym. Siedziałem przed telewizorem, wpatrzony w migające obrazy, jakbym na krótki moment sam stał się częścią oglądanej historii. Ale nie chciałem być rysownikiem, który za pomocą ołówka i farb wprawia obrazki w ruch, ani scenarzystą rozpisującym zabawne historie klatka po klatce. Postanowiłem, że zostanę reżyserem – kimś, kto sprawia, że wszystkie te elementy łączą się w całość, dzięki czemu dzieciaki mogą niczym zaczarowane przenieść się na krótką chwilę do innego, piękniejszego świata.

Ale gdy zacząłem naukę angielskiego, pojawił się zupełnie nowy plan na życie. Pewnego dnia siedziałem nad zeszytem, do którego przepisywałem tabelkę z odmianą czasownika *to be*, próbując zapamiętać, czym różni się *am* od *is* i *are*. Obok leżał podręcznik *English Is Fun* z krótkim opisem domu z ogrodem, którego właścicielem był niejaki Mr James Scott. I gdy patrzyłem na zabawne obrazki obok krótkich dialogów, pojawiła się myśl: będę tworzył podręczniki do nauki

tęgo języka. Pierwszy z nich zacząłem nawet pisać, choć nie było to łatwe zajęcie, biorąc pod uwagę, że po kilku lekcjach znałem ledwie kilka angielskich słów. Moja książka o porwaniu pingwina przez inne zwierzęta, które odkrywają magiczne drzwi do innego świata, wydawała mi się jednak znacznie ciekawsza od nudnego życia pana Scotta w Wielkiej Brytanii.

Kilka lat później rodzice kupili mi akwarium, więc postanowiłem zostać ichtiologiem – ekspertem od ryb. Szybko okazało się jednak, że są z tym dwa problemy. Po pierwsze, nikt wokół mnie nie wiedział tak do końca, kim właściwie jest ichtiolog. Po drugie, ryby pozostawały całkowicie obojętne na moje wysiłki i nie chciały się rozmnażać. Czytałem o nich wszystko, co wpadło mi w ręce, sprawdzałem temperaturę wody, karmiłem je dziwnymi płatkami pachnącymi stęchłym dorszem i wpatrywałem się w akwarium z naukowym skupieniem, ale neonki konsekwentnie mnie ignorowały. Im więcej się o nich dowiadywałem i im bardziej się starałem, tym większa ogarniała mnie frustracja – rybki wbrew moim planom nie okazywały żadnych ambicji rodzicielskich. Uznałem więc, że jeśli nie potrafię skłonić ich do rozmnażania, to najwyraźniej pomyliłem powołanie. Wtedy postanowiłem zostać piłkarzem.

Zacząłem trenować w Varsovii – klubie, w którym kilka lat później swoją piłkarską drogę miał rozpocząć Robert Lewandowski. Po jednym z meczów, słuchając słów trenera, poczułem nagły przypływ nadziei. W ciągu kilku sekund w mojej wyobraźni z chłopaka grającego na osiedlowym boisku, na którym rzuty różne można wybijać tylko z jednego rogu, bo w drugim stoi wiata śmietnikowa, stałem się dorosłym zawodnikiem wybiegającym na murawę w blasku reflektorów, przy pełnych trybunach.

Trener po ostatnim gwizdku zebrał nas – umorusanych w błocie chłopaków w czerwono-żółtych strojach – i odezwał się głosem nasyconym tym charakterystycznym wkurzeniem, znanym każdemu, kto pamięta metody szkoleniowe z dawnych czasów.

– Chłopcy, graliście dziś beznadziejnie!

Po czym spojrział na mnie i już spokojniejszym tonem dodał:

– Tylko do Jerzaka nie mam pretensji.

Wszyscy zwrócili wzrok w moim kierunku z wyraźnym zdziwieniem. Co prawda wpuściłem osiem bramek, ale przecież w dwóch

sytuacjach prawie udało mi się złapać piłkę. A trener z pewnością wie, co mówi.

– Chłopak nie ma zupełnie talentu, więc nie można od niego wymagać cudów. Ale wy moglibyście się trochę bardziej postarać.

Gdy dodał te słowa, moje plany wygrania mistrzostw świata dla Polski rozpadły się jak obrona Brazylii w pamiętnym półfinale z Niemcami. Cóż, znów musiałem zmodyfikować plan na życie.

Jak widać, moje marzenia zmieniały się szybciej niż prognoza pogody w kwietniu, ale za każdym z nich stała ta sama, olbrzymia ciekawość i chęć nauczenia się czegoś nowego. Pewnego dnia wszystko jednak uległo zmianie.

Nasze liceum otrzymało w prezencie zestaw książeczek w języku francuskim, które następnie przez lata kurzyły się na szkolnej półce. Wszyscy marzyli raczej o tym, by mówić perfekcyjnie po angielsku. Były lata dziewięćdziesiąte XX wieku. Chwilę wcześniej opadła żelazna kurtyna, która przez dekady odgradzała nasz kraj od państw zachodniej Europy. Wreszcie można było podróżować, a język angielski jawił się jako niezbędne narzędzie do spełniania marzeń o podbijaniu szerokiego świata.

W naszym liceum przyjęto jednak zasadę, że uczniowie będą uczyć się jeszcze jednego języka obcego. Ponieważ moja klasa miała profil kulturowo-językowy – cokolwiek to wtedy znaczyło – uznano, że idealnym wyborem będzie francuski. To przecież język kultury, literatury i salonów, do których, przynajmniej w teorii, powinniśmy aspirować.

Już po pierwszej lekcji większość uznała, że nauka tego języka nie będzie ich głównym celem w życiu. „Francuski to ciąg przypadkowych dźwięków, z którego nie jestem w stanie nic wyluskać” – pamiętam do dziś słowa mojego kolegi z klasy.

Ja też początkowo traktowałem francuski jak kulę u nogi. Choć nasza nauczycielka dwoiła się i troiła, zapisując na tablicy odmianę czasownika *être* i próbując nauczyć nas gardłowego, francuskiego *r*, z tylnych ławek w klasie słyhać było raczej westchnienia niż oznaki zachwyty. Dla większości z nas był to po prostu jeszcze jeden przedmiot, który należało zaliczyć. Przynajmniej do tamtego dnia.

W czasie przerwy podszedłem do regału stojącego w kącie sali i znalazłem na półce niewielką książeczkę *W 80 dni dookoła świata*.

Była to uproszczona wersja, przeznaczona dla osób uczących się francuskiego. Miała ciemną okładkę, a na niej obrazek balonu unoszącego się nad mapą świata.

Zawsze lubiłem Jules'a Verne'a, więc zapytałem nauczycielkę, czy mogę wypożyczyć tę książkę. Nie było z tym żadnego problemu. Mam nawet wrażenie, że pani od francuskiego szczerze się ucieszyła, bo ktoś wreszcie okazał temu językowi przynajmniej odrobinę zainteresowania.

Jeszcze tego samego dnia wyruszyłem w podróż z Phileasem Foggiem. Płynąłem razem z nim statkiem parowym, niemalże czując piekący w oczy zapach węgla; jechałem na słońcu, kołysząc się na jego grzbiecie; uwalniałem wdowę po hinduskim maharadży, słysząc krzyki wściekłego tłumu i trzask płonących pochodni. Historia wciągnęła mnie bez reszty, a kto wie – może wpłynęła też na moją podświadomość, bo koniec końców żonę, podobnie jak Fogg, znalazłem w Indiach. Na szczęście, w odróżnieniu od bohaterki książki, nie próbowano spalić jej na stosie, gdy się spotkaliśmy.

Tydzień później nauczycielka powiedziała mi, że jeśli chcę, mogę wziąć więcej książek. Wspomniała też o Instytucie Francuskim w Warszawie. Zaczęła przynosić mi kolejne materiały, w tym podręcznik do nauki francuskiej wymowy – jej marzeniem było chyba, by przynajmniej jedna osoba wypowiadała wreszcie poprawnie francuskie *r*.

Przy Senatorskiej znajdowała się nie tylko biblioteka, ale też mała księgarnia, w której kupiłem jedną z moich ulubionych książek z dzieciństwa: *Le Petit Nicolas* – opowieść o zwariowanych przygodach Miłojajka i jego kolegów.

Język francuski zaczął mi towarzyszyć na co dzień. Czytałem kolejne książki, jadąc autobusem do szkoły. Pewnego razu wywołałem zdziwienie u siedzącego obok mnie pięciolatek – dlaczego taki duży chłopak czyta książki dla dzieci i to jeszcze zapisane jakimś dziwnym pismem pełnym kreseczek, ogonków i daszków?

W wakacje pojechałem na obóz językowy do Człuchowa, gdzie przez dwa tygodnie przebywaliśmy w towarzystwie francuskojęzycznych Szwajcarów. Kalendarz mieliśmy bardzo napięty i intrygujący: zajęcia z amatorskiego teatru, pisanie horoskopów, masaże, obserwacje leśnego ptactwa oraz wprowadzenie do francuskiego komiksu. To ostatnie wywarło później duży wpływ na moje życie.

Jeden z naszych wychowawców, Jacques, wysłał mi potem regularnie komiksy, wśród których był między innymi popularny *Titeuf* – opowieść o chłopcu z charakterystyczną fryzurą, będącą mieszanką irokeza i lisiej kity, który z dziecięcą szczerością komentuje świat dorosłych. Taki Mikołajek w wersji hardcore, który pomógł mi opanować mniej „książkowy” francuski.

Gdy nadszedł ostatni rok liceum, wiedziałem już, co chcę robić dalej. Chcę studiować język francuski. Postanowiłem zdawać na romanistykę – kierunek, na którym zajęcia odbywały się po francusku, a studenci poznawali literaturę i historię Francji.

Byłem pewny siebie, ale w mojej głowie pojawiło się ziarno wątpliwości. Mój francuski nie był idealny. Uczyłem się słówek, czytałem książki do gramatyki, ale swobodna rozmowa w tym języku wciąż sprawiała mi trudność.

Czy znasz to uczucie, gdy chcesz coś powiedzieć, ale słowa chowają się gdzieś w twojej głowie? Czy nie masz wtedy wrażenia, że wszyscy na ciebie patrzą, a ty za chwilę zapadniesz się pod ziemię? Właśnie tak się czułem.

Przepisywałem nowe słówka z książek do zeszytu i szukałem ich znaczeń w słowniku. Miałem jednak wrażenie, że czegoś mi brakuje. Nawet jeśli udawało mi się zapamiętać nowe słowo, użycie go w zdaniu było nie lada wyzwaniem. Czasami miałem też wrażenie, że wyrazy takie jak *le cortège*, czyli „orszak”, mogą mi się do niczego nie przydać. A jednak uczyłem się ich pilnie – w końcu chciałem znać ten język perfekcyjnie.

I właśnie wtedy przeprowadziłem jedną z najważniejszych rozmów w moim życiu. Do dziś potrafię przypomnieć sobie każdy jej szczegół. Do szkoły przyszła pani psycholog, która miała pomóc nam w wyborze studiów.

Była elegancką kobietą niskiego wzrostu, ubraną w prostą, niebieską sukienkę. Jednym słowem, niczym się nie wyróżniała. Gdy jednak zaczynała się jej słuchać, można było odnieść wrażenie, że w jej spokojnym głosie pobrzmiewa doświadczenie, które naturalnie budowało wokół niej silny autorytet i wyjątkową aurę.

Zacząła po kolei pytać nas o plany na przyszłość. W klasie unosiły się ciche szmery: ktoś wspominał o prawie, ktoś inny o architekturze.

Pani psycholog kiwała głową, robiła krótkie notatki i każdemu poświęcała chwilę, dodając kilka uwag i gratulując wyboru.

W pewnym momencie spojrzała w moją stronę. Zapadła krótka cisza.
– A ty, Konrad? Co chcesz studiować? – Usłyszałem nagle jej głos.

Miałem wszystko przemyślane. Choć wielu moich kolegów – a właściwie koleżanek, bo na dwadzieścia dziewięć osób w klasie aż dwadzieścia pięć stanowiły dziewczyny – planowało podchodzić do egzaminów na kilka kierunków, ja byłem pewien swojego wyboru.

– Będę zdawał na romanistykę. Uwielbiam język francuski – odpowiedziałem, starając się, by w moim głosie było tyle samo pewności, ile zabrzmiało w jej pytaniu.

Zapadła wtedy niezręczna cisza, która – jak mi się wtedy wydawało – trwała zdecydowanie zbyt długo.

– Ale mieszkałeś we Francji, prawda? – spytała pani psycholog wyraźnie zdziwiona.

Nagle poczułem się niepewnie. Byłem za granicą tylko raz, na szkolnej wycieczce do czeskiej Pragi. Z rodzicami podróżowaliśmy wyłącznie po Polsce, zawsze tymi samymi, dobrze znanymi trasami. Znałem raczej Przasnysz, Gdańsk czy Kielce, a nie Barcelonę, Londyn albo Paryż. Podróż do innych krajów mogła się urzeczywistnić jedynie w mojej wyobraźni – była mglistym marzeniem, które być może nigdy się nie zrealizuje.

Uwielbiałem przeglądać atlas z mapami. Przewracałem strony przyjemnego w dotyku kredowego papieru, aby śledzić palcem cienkie linie granic i nazwy miast, których brzmienie miało w sobie coś magicznego. Czułem się wtedy tak, jakbym wybierał się w daleką podróż – niczym Phileas Fogg – choć w rzeczywistości wciąż siedziałem przy swoim biurku.

Szczerze powiedziawszy, nauka języków była dla mnie namiastką realizacji marzeń o poznawaniu świata. Gdy czytałem francuskie książeczki, czasem zamykałem oczy i miałem wrażenie, że spaceruję po paryskich Polach Elizejskich – słyszę szum przejeżdżających samochodów, gwar rozmów dochodzący z kawiarni i dźwięk filiżanek stawianych na marmurowych stolikach, choć nie miałem pojęcia, jak stolica Francji w rzeczywistości wygląda i czy są tam w ogóle marmurowe stoliki; a kiedy uczyłem się angielskiego, widziałem siebie na ulicach Nowego Jorku, zadzierającego

głową, by dostrzec szczyty drapaczy chmur, wśród hałasu klaksonów, zapachu spalin i ciągłego ruchu miasta, które nigdy nie zasypia.

Już sam wyjazd za granicę pozostawał dla mnie wyłącznie marzeniem, planem odłożonym na bliżej nieokreśloną przyszłość. A żeby jeszcze tam mieszkać? To wydawało się zupełnie niemożliwe.

– Nie. Nigdy tam nie byłem – odpowiedziałem, a mój głos lekko zadrżał.

– A uczysz się francuskiego gdzieś poza szkołą? – zapytała pani psycholog.

Pomyślałem o kilku znajomych z liceum francuskojęzycznego, których poznałem podczas obozu w Człuchowie. Mieli część lekcji prowadzonych po francusku, byli niemal codziennie zanurzeni w tym języku i mówili znacznie lepiej ode mnie.

Czy muszę być na ich poziomie, żeby dostać się na studia? W ciągu kilku sekund przez moje myśli przewinęło się mnóstwo czarnych scenariuszy.

Przez chwilę przyszło mi do głowy, że mógłbym zapisać się na dodatkowe lekcje albo korepetycje z francuskiego. Szybko jednak zrozumiałem, że to nie jest realna opcja. Moi rodzice robili wszystko, co mogli, ale na takie zajęcia po prostu nie było nas stać.

– Nie. Uczę się tylko w szkole – zdołałem odpowiedzieć, czując, jakbym miał zaraz zapaść się pod ziemię.

I wtedy usłyszałem słowa, które pamiętam do dziś.

– W takim razie nie masz szans.

Nie masz szans. Czy kiedykolwiek ktoś powiedział ci coś podobnego? *Nie nadajesz się. To niemożliwe. Zapomnij. Nie dasz rady.*

Mój świat w tamtej chwili się zawałił. Nie miałem planu B. Czy powinienem zmienić decyzję i zdawać na inny kierunek studiów? A jeśli tak, na jaki? Na zmianę planów nie było już przecież czasu.

Opowieść babci

Gdy wracałem do domu, siedziałem milcząco w autobusie, wpatrując się w okno. Na kolanach leżała otwarta książka z przygodami Mikołajka, ale nie miałem w sobie siły, by wrócić do lektury. Autobus podskakiwał na nierównościach, za szybą przesuwały się rozmazane światła ulic. Miałem wrażenie, że moje plany i marzenia odjeżdżają razem z kolejnymi przystankami. Czułem na barkach ciężar, z którym nie bardzo wiedziałem, co zrobić. Tak bardzo liczyła na mnie rodzina, a zwłaszcza babcia.

Przypomniałem sobie wtedy historię, którą kiedyś mi opowiedziała. Szliśmy razem do biblioteki i mijaliśmy stare, drewniane wille letniskowe. Ich widok musiał przywołać w jej pamięci trudne wspomnienia z dzieciństwa.

– Pamiętam, jak uczyłam się w szkole w Zielonce, tej samej, do której ty chodzisz – odezwała się. – Mieliśmy bardzo surowego nauczyciela od matematyki, więc o dobre oceny było naprawdę trudno. Pewnego dnia mój ojciec, czyli twój pradziadek, wrócił z wywiadówki i poprosił moją mamę na rozmowę. Byłam przerażona. Spodziewałam się najgorszego.

Po chwili tata zawołał mnie do pokoju. Za okrągłymi okularami widziałam jego zatroskane, ale jednocześnie surowe spojrzenie. Do dziś pamiętam ton jego głosu:

„Danusiu, musimy coś z tym zrobić. Wiem, że jesteś zdolna i stać cię na poprawę oceny z matematyki. Rozmawiałem z mamą i postanowiliśmy złożyć ci propozycję. Jeśli na koniec roku będziesz miała na świadectwie piątkę, dostaniesz prezent. W mojej pracy organizowany jest wyjazd dla dzieci do Wilna – możemy cię na niego wysłać. Albo, jeśli wolisz, kupimy ci rower..”

Gdy usłyszałam te słowa, oczy zaświeciły mi się z radości. Rower. Niebieski rower. Dokładnie taki sam, jaki wypatrzyliśmy kiedyś w Warszawie, w witrynie domu towarowego. Stał na podwyższeniu w świetle lamp, a jego metalowa rama błyszczała jak skarb z innego świata. W tamtej chwili wiedziałam już, co zrobię.

Zaczęłam uczyć się matematyki jak szalona. Codziennie rozwiązywałam zadania, jedno po drugim, aż cyfry zaczynały mi się mieszać przed oczami. Starłam się być bardziej aktywna na lekcji, zgłaszałam się, nawet gdy nie byłam do końca pewna odpowiedzi. Gdy ogarniało mnie zniechęcenie, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że jadę na rowerze ulicami Zielonki, czuję wiatr we włosach i głośno dzwonię, żeby usłyszały mnie moje koleżanki. Odwracały wtedy głowy z zazdrością, a ja machałam do nich, śmiejąc się i krzycząc: „Zobaczcie, mam nowy, niebieski rower!”

Jak pewnie się domyślasz, na koniec roku przyniosłam z dumą świadectwo szkolne. Piątka z matematyki. Moje marzenie się spełniło.

Do dziś pamiętam ten dzień. Weszliśmy z tatą do sklepu i byłam tak szczęśliwa, że nie mogłam ustać w miejscu. Gdy dotknęłam

roweru – mojego roweru – ręce delikatnie mi się trzęsły. A wieczorem nie mogłam zasnąć. Dostałam nawet gorączki. Byłam szczęśliwa, bo mój niebieski rower stał obok łóżka.

– I wiesz co? – babcia przystanęła na chwilę i spojrzała gdzieś daleko przed siebie. – Dziś, gdy cofam się myślami w czasie... strasznie tego żałuję. Jaka byłam głupia!

To było lato 1939 roku. Kilka tygodni później wybuchła II wojna światowa. Hitlerowskie Niemcy zajęły Polskę i całe moje życie zmieniło się na zawsze. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej na geografii училиśmy się o wyrysowanych na wielkiej mapie granicach krajów, które lada moment miały przestać istnieć.

A rower? Chwilę po wejściu wojsk niemieckich do Zielonki został zarekwirowany. Już nigdy więcej go nie zobaczyłam. Nawet na nim nie pojeździłam.

I żałuję dziś jednego. Miałam wtedy okazję pojechać do polskiego Wilna. Twój pradziadek pracował jako instruktor nauki jazdy i w jego zakładzie pracy pojawiła się możliwość wyjazdu do tego miasta dla dzieci pracowników – coś wyjątkowego, na co nikt inny z mojej klasy nie mógł liczyć. A ja z tej okazji nie skorzystałam. Wolałam rower, którym mogłabym pochwalić się przed koleżankami.

Po wojnie świat całkowicie się zmienił, a Wilno znalazło się w granicach Związku Radzieckiego. Straciłam jedyną szansę, by zobaczyć to miasto takim, jakim było dawniej. Całe życie żałowałam tej decyzji, bo z czasem zrozumiałam, że ogromną wartością jest poznawanie świata, a nie przedmioty, które można postawić w kącie pokoju, nawet jeśli pięknie lśnią. Tak naprawdę znaczenie mają zebrane doświadczenia, które zostają z nami na zawsze. Nawet gdyby nie wybuchła wojna, tamten rower dawno by się zepsuł albo gdzieś zawieruszył, a wspomnienia z podróży mogłyby zostać ze mną do końca życia.

Poprawienie oceny z matematyki nauczyło mnie czegoś jeszcze: że wytrwała nauka naprawdę ma sens. Że nawet gdy coś wydaje się ponad nasze siły, systematyczna praca potrafi przesunąć granice tego, co uważamy za możliwe.

Niestety nie miałam możliwości pójść na studia. W 1939 roku jeszcze przez krótki czas chodziliśmy do szkoły. Otrzymałam nawet świadectwo, na którym oceny zapisano po niemiecku. Szybko

jednak stało się jasne, że okupanci nie zamierzają pozwolić Polakom na dalszą edukację. Traktowali nas jak ludzi drugiej kategorii i odebrali nam nie tylko ojczyznę, ale także prawo do kształcenia. Szkoły zostały zamknięte.

Chodziłam co prawda na zajęcia, które nauczyciele prowadzili potajemnie w prywatnych domach. Gdy jednak wojna się skończyła, miałam ukończoną jedynie szkołę podstawową, a to było za mało, by kształcić się dalej. Nie było mi dane pójść na studia. Urodziłam dziecko, zaczęłam pracować. Marzenia o dalszej nauce musiałam odłożyć na półkę, wiedząc, że już nigdy do nich nie wrócę.

Przez całe życie nosiłam w sobie brzemień niepełnego wykształcenia. Trudno było mi o awans, choć wiedziałam, że potrafiłabym sprostać nawet najtrudniejszym wyzwaniom. Gdyby życie potoczyło się inaczej i historia świata obrała inne ścieżki, pewnie byłabym dziś w zupełnie innym miejscu.

Książka, od której wszystko się zaczęło

Wiedziałem, jak bardzo babci zależało na naszym wykształceniu. Pokładała wielkie nadzieje w moim tacie, który podszedł nawet do egzaminu na politechnikę. Z jakiegoś powodu, którego sam nigdy nie potrafił mi wyjaśnić, oddał jednak pustą kartkę. Wkrótce potem został powołany do wojska na dwa lata. Jedyną dobrą stroną tej historii było to, że właśnie tam poznał moją mamę.

Siedząc w autobusie, pomyślałem o babci. Opowiadałem jej o swoich planach. Studia na Uniwersytecie Warszawskim – uczelni, która także w czasach jej młodości uchodziła za elitarną – byłyby spełnieniem jej marzeń.

Babcia chyba widziała we mnie trochę siebie – tylko że ja urodziłem się w lepszych czasach. Czuli też, że jestem w stanie dokonać właściwych wyborów... bo przecież nie lubiłem jeździć na rowerze, za to wolałem opowiadać jej o podróżach, które odbywałem, wędrując palcem po mapie Azji, Afryki czy Ameryki.

„Nie mogę zawieść babci” – myślałem przez całą drogę. „Muszę znaleźć rozwiązanie. Nie przeprowadzę się do Francji ani nie zapiszę się na intensywny kurs językowy. Nie wolno mi jednak rezygnować

z marzeń. Tylko jak nauczyć się francuskiego szybko i na tyle dobrze, by zdać egzamin?”

W mojej głowie kłębiło się mnóstwo pytań, jedno goniło drugie, ale paradoksalnie przyniosły pewną ulgę – zagłuszyły poczucie bezradności i zmusiły mnie do myślenia. Skoro nie mogłem wpłynąć na okoliczności, musiałem znaleźć sposób, by zmienić swoje podejście.

Po kilku dniach postanowiłem wybrać się do miejskiej biblioteki w Warszawie. Nie miało to wyjątkowo nic wspólnego z językiem francuskim. Trafiłem tam z prozaicznego powodu – musiałem solidnie przygotować się do sprawdzianu, a tylko tam mogłem znaleźć potrzebne książki.

Miejsce to miało w sobie coś wyjątkowego. Gdy przechodziłem wąskimi korytarzami, po bokach których stały metalowe szafy, miałem wrażenie, że jestem kimś bardzo małym wobec ogromu wiedzy ukrytej w dziesiątkach szufladek ze skatalogowanymi tytułami. W powietrzu unosił się zapach starego papieru, a wokół panowała cisza, przerywana co jakiś czas skrzypieniem podłogi pod stopami osób krążących między regałami.

Aby skorzystać z książki na miejscu, należało najpierw odnaleźć jej sygnaturę w katalogu. Każda pozycja miała swoją kartę umieszczoną w jednej z szufladek, a te były uporządkowane tematycznie. Znalezienie właściwego tytułu zajmowało czasem nawet godzinę, ale samo przeglądanie katalogu było niezwykle wciągające. Można było trafić na intrygujące książki, na które inaczej nigdy bym się nie natknął.

Po zapisaniu na karteczce sygnatur książek, należało przekazać ją bibliotekarzowi i zająć miejsce przy jednym ze stolików. Wybrany tytuł był wyszukiwany w magazynie, a bibliotekarz przynosił książkę po mniej więcej trzydziestu minutach. Ponieważ nie mieszkałem w Warszawie, mogłem korzystać z książek wyłącznie na miejscu.

Wertując karty w szufladzie katalogu, natrafiłem przypadkiem na nową kategorię: „Nauka języków obcych”. Ciekawe. Istnieją książki, z których można dowiedzieć się, jak uczyć się języków skuteczniej? Może to wydać się zabawne, ale do tej pory miałem wrażenie, że nauka zawsze wygląda tak samo. Człowiek po prostu siada i się

uczy – bez większej filozofii. Ta myśl zatrzymała mnie przy katalogu na dłużej.

Nowa kategoria książek zainteresowała mnie na tyle, że trudno było mi oderwać się od katalogowej szufladki. Przyznam, że zupełnie zapomniałem o sprawdzianie, do którego miałem się przygotowywać. Na rewersie, który wypełniało się, by otrzymać książkę, od razu zapisałem sygnatury kilku tytułów.

Jeden z nich szczególnie mnie zaintrygował. Była to książka Zygmunta Broniarka *Jak nauczyłem się ośmiu języków obcych*. Jej wcześniejsze wydanie nosiło nieco inny tytuł: *Jak nauczyłem się sześciu języków obcych*. Niesamowite. W ciągu kilku lat Broniarek opanował dwa kolejne języki, więc musiał zaktualizować tytuł swojej książki. Skoro tak, znaczyło to, że naprawdę znał się na rzeczy. Byłem przekonany, że znajdę w niej podpowiedź, jak uczyć się francuskiego, by zdać egzamin na studia.

Gdy przekazałem bibliotekarzowi karteczkę z sygnaturami książek, usiadłem przy stoliku. Każdy pobyt w bibliotece był mieszanką długich poszukiwań w katalogu i ciągnącego się oczekiwania na zamówione tytuły – byłem już do tego przyzwyczajony. W tym czasie mogłem bez końca przyglądać się stałym bywalcom czytelnicy.

Obok mnie siedział mężczyzna z rozczochranymi, siwymi włosami, w znoszonej i wielokrotnie cerowanej marynarce. Na stoliku przed nim leżała plastikowa torba z zeszytami. Po prawej stronie intensywnie uczył się piegowaty student w okularach, przed którym piętrzyły się książki o zaawansowanej fizyce molekularnej.

Czy wśród tych dziwnych ludzi znajdę odpowiedź na moje pytania? Czuję podskórnie, że granica między geniuszem a szaleństwem jest wyjątkowo cienka. Ale może właśnie tutaj, wśród takich osób, rozdziły się teorie, których nie da się znaleźć w szkolnych podręcznikach?

Jak się już pewnie domyślasz, książka Broniarka całkowicie mnie pochłonęła. Polski dziennikarz nie tylko wyjaśniał, jak uczyć się języków, ale przede wszystkim opowiadał mnóstwo barwnych historii. Miałem wrażenie, że siedzę razem z nim na konferencjach prasowych w Białym Domu, wsłuchując się w pytania międzynarodowych korespondentów i obserwując, jak świat reaguje na najważniejsze komunikaty. Chwilę później przenosiliśmy się wyobraźnią do zatłoczonych

kawiarni Paryża i wąskich ulic Rzymu, gdzie Broniarek żywo rozmawiał o podróżach i polityce. Każdy nowy język zdawał się otwierać drzwi do innego świata.

Broniarek był pucułowatym mężczyzną w okrągłych okularach z grubymi szklami, a jego uśmiech zdradzał ciekawość świata połączoną z odrobiną pozytywnego szaleństwa. Gdy zagłębiłem się w jego wspomnienia, po raz pierwszy pomyślałem, kim naprawdę chcę być. Zostanę poliglotą.

Największe wrażenie zrobiła na mnie historia pewnego spotkania Broniarka, które miało miejsce w czasie wojny, gdy jako bardzo młody chłopak pracował w księgarni. Pewnego dnia w drzwiach stanął wysoki mężczyzna w meloniku, z parasolem w dłoni.

Kupił niewielką książeczkę zatytułowaną *Cuentos españoles* – zbiór czytanek w języku hiszpańskim.

Broniarek, który miał już za sobą pierwsze, nieśmiałe próby nauki języków obcych – między innymi niemieckiego – pakując książkę do torby, zagadnął klienta, by dowiedzieć się czegoś więcej.

– Znam siedem języków. Bardzo pomogły mi w pracy dziennikarskiej – odpowiedział z uśmiechem elegancki mężczyzna. Jak się okazało, był to Antoni Pawlikiewicz, długoletni komentator Polskiego Radia.

W życiu zdarzają się takie momenty, gdy jedna rozmowa albo jedna książka potrafi zmienić bieg naszego życia. Czasami – jak mówił Steve Jobs – dopiero po latach jesteśmy w stanie połączyć kropki rozsiane wśród wydarzeń naszej przeszłości. Innym razem wystarczy jedno słowo, krótka chwila uwagi poświęconej młodemu człowiekowi, by nadać jego życiu zupełnie nowy kierunek.

Broniarek przyznał, że rozmowa z Pawlikiewiczem odmieniła jego los, choć sam mężczyzna w meloniku zapewne nie miał pojęcia, jak ogromny wpływ wywrze na przyszłość chłopca, który pakował mu hiszpańską książkę do torby.

Ale życie bywa czasem jak sztafeta. Ktoś wręcza nam pałeczkę, a naszym zadaniem jest pobiec dalej i przekazać ją kolejnej osobie.

Pawlikiewicz przekazał pałeczkę Broniarkowi, a ja, czytając książkę *Jak nauczyłem się ośmiu języków*, poczułem, że polski dziennikarz i tłumacz wręczył ją teraz mnie.

Pałeczka była ciężka. Czulem, że jej niesienie nie będzie łatwe, ale zacisnąłem dłonie i pomyślałem: „Dam radę”.

Jak zostać poliglotą?

Wszystko zaczęło mi się układać w głowie. Broniarek podsuwał wiele pomysłów, które niemal od razu zacząłem wcielać w życie. Wkrótce natrafiłem też na książkę Very F. Birkenbihl *Jak szybko i łatwo nauczyć się języka*, dzięki której do mojego inwentarza przyszłego poligloty dołączyły kolejne przydatne narzędzia.

Co zabawne, mam tę książkę w domu aż w dwóch egzemplarzach. Gdy moja rodzina zobaczyła, z jakim zapałem zabrałem się za naukę języków, kupiła mi ją w prezencie, nie wiedząc, że jeden egzemplarz już stoi w mojej biblioteczkę, a ja znam tę książkę niemal na pamięć.

Oczywiście zaraz po lekturze książki Broniarka nastąpił moment przełomowy dla każdego aspirującego poligloty – sporządziłem listę języków, których się nauczę. Otworzyłem zeszyt i na czystej stronie zapisałem pierwszy z nich. Długopis sunął po papierze coraz szybciej, a lista pęczniała z każdą kolejną linijką. Ach, czego tam nie było. Fantazji z pewnością mi wtedy nie brakowało.

Zacząłem od arabskiego, który umieściłem na liście jako pierwszy – w końcu zaczynał się na literę A. W bibliotece wypożyczyłem książkę *Arabski dla Polaków* i zabrałem się za naukę pisma. Gorzej było z wymową. Były to czasy sprzed Internetu, gdy w telewizji mieliśmy do wyboru zaledwie kilka kanałów. Uczyłem się więc arabskiego, nie mając najmniejszego pojęcia, jak właściwie brzmi. Po raz pierwszy usłyszałem go dopiero kilka lat później, gdy w antykwariacie znalazłem tę samą książkę, ale już z dołączonymi kasetami audio.

Do arabskiego dopisałem od razu hiszpański i włoski, a także niemiecki. Skoro miałem studiować romanistykę, na liście musiał się też znaleźć jeszcze inny język romański, czyli portugalski. Tutaj było już znacznie trudniej, bo jedyną książką, jaką udało mi się wyszperać w bibliotece, był podręcznik dla polskich imigrantów w Brazylii, napisany przez księdza – bodajże z Kurytyby – na przełomie XIX i XX wieku.

Lista cały czas się wydłużała, ale oczywiście priorytetem pozostawał francuski. Najbardziej przypadła mi do gustu jedna z prostych metod opisanych przez Broniarkę: tłumaczenie tekstów z jednego języka na drugi.

Przestałem wkuwać pojedyncze słówka, bo czułem, że niewiele mi to daje, i zacząłem tłumaczyć całe zdania. Efekty szybko zaczęły mnie zadziwiać. Wziąłem udział w olimpiadzie z języka francuskiego i udało mi się przejść dwa etapy – dokładnie tyle samo co uczniowie z mojego liceum, którzy wcześniej mieszkali we Francji.

Niestety zawałem etap ustny, bo trzeba było przygotować się do niego z wybranego tematu. Wybrałem biografię francuskiego generała i prezydenta Charles'a de Gaulle'a, ale czytanie o jego politycznych przygodach szło mi wyjątkowo ciężko. Z całej tej lektury zapamiętałem właściwie tylko jedno: że podczas pobytu w Warszawie w latach dwudziestych XX wieku rozwijał jedną ze swoich wielkich pasji – jedzenie pączków z marmoladą, polanych słodkim lukrem.

Ale jak mógłbym naprawdę zainteresować się życiem francuskiego generała, skoro na stole przede mną leżał podręcznik do arabskiego albo hiszpańskiego?

Miałem jednak poczucie, że zaczynam robić postępy. Zdanie egzaminu przestało być abstrakcją i zaczęło wydawać się realne. Ale jednocześnie wiedziałem, jak wiele ryzykuję. Zdawałem tylko na jeden kierunek. A co jeśli zawalę egzamin? Wolałem nawet o tym nie myśleć.

W końcu nadszedł czerwiec – czas egzaminów na studia. Gdy usiadłem na sali i wyjąłem długopis, w tyle głowy wciąż słyszałem głos pani psycholog: „Nie masz szans”.

Kiedy jednak ścisnąłem długopis w dłoni i na moment zamknąłem oczy, poczułem, jakbym trzymał pałeczkę sztafety przekazaną mi przez Zygmunta Broniarkę. Otworzyłem oczy i zacząłem pisać.

W dniu ogłoszenia wyników babcia pracowała w ogrodzie. W jednej dłoni trzymała sekator, którym przycinała gałązki malinowego krzewu, w drugiej – szmatkę do wycierania ubrudzonych rąk.

– Babciu, dostałem się na studia! – wykrzyknąłem, widząc jej zdziwienie.

Sekator wypadł jej z ręki i zaczęła płakać. Myślę, że w tej krótkiej chwili przez jej głowę przemknęły setki obrazów z życia, którego sama

nigdy nie mogła przeżyć – z utraconego dzieciństwa i młodości, na które nie pozwoliła historia.

Pewnie widziała siebie, gdy mniej więcej w moim wieku – zamiast uczyć się do egzaminu na studia – została, jak inni mieszkańcy Zielonki, wypędzona z domu. Razem z matką miała tylko krótką chwilę, by spakować do tobołków tyle, ile były w stanie unieść. Gdy opuszczała dom, prowadzona w tłumie sąsiadów, nie wiedziała, czy kiedykolwiek do niego wróci, ani czy zobaczy kolegów ze szkolnej ławki.

Pędzili ich pieszo w stronę Warszawy. W pewnym momencie w tłumie wybuchła szamotanina. Ktoś próbował uciec, Niemcy strzelali i ruszyli w pościg. Babcia poczuła wtedy na dłoni mocny uścisk matki, która szepnęła, by schowały się w bramie. Nie potrafię sobie wyobrazić strachu, który wtedy czuły, kryjąc się przed uzbrojonymi żołnierzami, zamiast, jak każdy nastolatek, uczyć się i w spokoju planować swoje życie.

A może babcia przypominała sobie, jak już po wojnie próbowała wrócić do nauki? Udało się jej nawet zabłysnąć na lekcji rosyjskiego – jako jedyna wiedziała, że „цыплёнок” to kurczaczek. Znała to słowo tylko dlatego, że zapamiętała je z piosenki, którą śpiewał żołnierz Armii Czerwonej, gdy w 1944 roku Sowietci wkraczali do Zielonki.

Gdy więc usłyszała, że jej wnuczek dostał się na Uniwersytet Warszawski, po prostu się rozplakała.

W tych emocjach zaczęła ocierać łzy szmatką, rozmazując na twarzy ogrodową ziemię. Wyglądało to naprawdę zabawnie, ale ten obraz utkwiał mi w pamięci na zawsze. Gdy dzieci albo wnuki spełniają marzenia, których realizację odebrał nam los, musi to wywoływać silne emocje. Gdy teraz o tym myślę, widzę twarz mojej babci – umorusaną ziemią, symbolem lat ciężkiej pracy, po której spływają łzy radości.

Kilka lat później babcia słuchała moich opowieści o podróżach do Francji i Brazylii, o skrzeczących, kolorowych papugach fruwających nad głowami, przez które – jak nieraz wspominała – nie mogła spać, bo zaczęły pojawiać się w jej snach. Mam wrażenie, że wsłuchana w moje słowa stawała się znów małą Danusią w kraciastej spódnicy i z białymi kokardkami we włosach, pakującą walizkę, by wyruszyć w podróż, zwiedzić Wilno, poznawać świat – z nadzieją, że tym razem, jakimś magicznym zrządzeniem losu, huragan historii nie odbierze jej marzeń i przyszłości.

Słuchając tych opowieści i patrząc na babcię, coraz lepiej rozumiałem, że moje podróże i nauka języków nie są tylko moje. W pewnym sensie niosłem ze sobą także jej niespełnione marzenia. To dawało mi siłę, ale i poczucie odpowiedzialności. Skoro dostałem szansę, której ona nigdy nie miała, nie mogłem jej zmarnować.

Ale czy nie jest właśnie tak, że wszyscy jesteśmy w pewien sposób połączeni niewidzialną nicią doświadczeń? Choć życie testuje nas na każdym kroku, możemy otoczyć się ludźmi, którzy wspierają nas w dążeniu do celu. Swoje marzenia mogłem spełnić dzięki innym poliglotom, których opowieści pochłaniałem z wypiekami na twarzy.

Choć nigdy nie poznałem ich osobiście – nie mogłem przecież cofnąć się w czasie i spotkać kardynała Mezzofantiego czy Emila Krebsa – miałem wrażenie, że stają się moimi przyjaciółmi. Spędziłem z nimi wiele godzin, więc z każdym dniem byli mi coraz bliżsi. Zacząłem naśladować ich metody, dostrzegać punkty wspólne. Poznawałem też badania naukowe, z których powoli wyłaniała się jedna myśl:

Każdy może nauczyć się dowolnego języka obcego, jeśli zacznie stosować właściwą metodę.

Z mojego testowania różnych pomysłów na naukę, czasem dość dziwnych eksperymentów, licznych lektur i uważnego przyglądania się ludziom, którzy osiągnęli językowe sukcesy, wyłonił się w końcu prosty sposób uczenia się.

Gdy go odkryłem, miałem wrażenie, jakby nagle wszystko przyspieszyło. Słówka i struktury gramatyczne zaczęły same układać się w głowie i coraz częściej łapałem się na tym, że potrafię porozumieć się z ludźmi z całego świata, a przecież wcześniej nawet krótkie kontakty wywoływały we mnie mnóstwo frustracji.

W dalekim Chennai, które wita przybysza ciężkim, parnym powietrzem, jeden z kolegów, z którymi pracowałem, napisał o mnie nawet wiersz w języku tamilskim, a potem odczytał go przed setkami osób. Stało się to tylko dlatego, że postanowiłem nauczyć się kilku słów w tym języku i każdego dnia zagadywałem go po tamilsku.

Choć nie byłem w stanie powiedzieć nic więcej niż: „Czy jadłeś już obiad?” i „Chłopiec sprzedający kwiaty zaraz przyjdzie”, mój łamany

tamili za każdym razem wywoływał uśmiech. W praktyce potwierdziły się słowa węgierskiej tłumaczki i poliglotki Kató Lomb, która powiedziała kiedyś: „Język to jedyna rzecz na świecie, którą warto znać nawet słabo”.

We włoskiej restauracji dostałem dwudziestoprocentową zniżkę tylko dlatego, że potrafiłem porozmawiać z kelnerem w jego języku. Gdy zwiedzałem Taj Mahal, mój przewodnik poprosił o wspólne zdjęcie – chciał pochwalić się znajomym, że rozmawiał z obcokrajowcem w hindi. A kiedy na wyspie Lesbos, pytając o drogę do zamku Molyvos, zagadałem po grecku do grupki energicznych starszych pań, które właśnie dyskutowały o swoich kotach, miałem wrażenie, że ich twarze aż się rozpromieniły ze szczęścia. Widząc ich podekscytowanie, myślę, że jeszcze długo mnie wspominały.

Muszę jednak przyznać, że pojawiły się też chwile zwątpienia. Gdy wchodziłem na scenę programu *The Brain – Genialny Umysł*, ugięły się pode mną nogi. Stałem w tunelu, czekając na zapowiedź. Zupełnie sam.

Patrzyłem na światła reflektorów i słyszałem stłumione brawa publiczności oczekującej mojego wejścia. W głowie zaczęły mi się kłębić setki myśli. Program miały oglądać miliony widzów. Za chwilę wszyscy zobaczą, jak radzę sobie z zadaniami sprawdzającymi moją znajomość czternastu języków. Ale czy temu podołam? Wiedziałem jedno – nie było już odwrotu.

Gdzieś przede mną zamajaczyła postać niskiej kobiety. Czy to była pani psycholog? Niebieska sukienka. Skąd się tu wzięła? Wszystko się niby zgadzało, ale musiało mi się to przewidzieć. Tak czy inaczej od razu w myślach usłyszałem echo jej głosu: „Nie masz szans”. Zamknąłem na chwilę oczy i czułem, jak jakaś siła ciągnie mnie do tyłu. I wtedy pomyślałem o mojej żonie, która kilka miesięcy wcześniej powiedziała mi słowa, których nigdy nie zapomnę.

Gdy pojawiła się możliwość występu w programie, chciałem się w pierwszej chwili wycofać. Czy jestem gotowy, by stanąć przed kamerami? Czy taki występ w ogóle ma sens? A co, jeśli mi się nie uda i skompromituję się przed wszystkimi?

Siedzieliśmy z żoną na naszej szarej sofie. Na stole stały dwie filiżanki świeżo zaparzonej kawy z mlekiem, a jej intensywny aromat unosił się w pokoju, kontrastując z chaosem myśli, który miałem w głowie.

– Chyba zrezygnuję – powiedziałem, patrząc żonie w oczy.

Ona przez chwilę milczała. Potem spojrzała na mnie uważnie, wzięła mnie za rękę i powiedziała:

– Wiem, jak wiele znaczy dla ciebie nauka języków. Poświęciłeś na nią tyle czasu. Włożyłeś w nią całe swoje serce. Dlaczego miałoby ci się nie udać? Nie bój się swoich marzeń.

Wchodząc na scenę, ponownie usłyszałem jej głos.

Nie bój się swoich marzeń.

Nie chciałem jednak, by mój występ był tylko chwilową atrakcją, o której ludzie szybko zapomną. Zastanawiałem się, co mógłbym zrobić, by pokazać innym, że do nauki języka nie trzeba być geniuszem. Wystarczy dobra metoda i odrobina wytrwałości.

Sam też miewałem przecież długie chwile frustracji; w przeszłości wstydziłem się swojego angielskiego i do dziś łapię się czasem za głowę, gdy się przejęzyczę. Przecież świetnie znałem złość, która pojawiała się zawsze, gdy mimo starań język obcy nie chciał wejść mi do głowy.

Co mogłem zrobić? Wiedziałem, że po moim występie będę odpowiadał na pytania jurorów. To była idealna chwila, by wspomnieć o mojej metodzie nauki. Dobrze, ale jak ująć wszystkie szczegóły w kilku słowach? Przecież w telewizji ukaże się tylko krótki fragment tej rozmowy.

I gdy tak stałem patrząc, jak na scenie zapalają się światła, przyszła mi do głowy prosta myśl, która stała się esencją mojej metody:

Nie ucz się słówek. Ucz się zdań.

Każdy, kto obejrzał odcinek programu z moim udziałem, usłyszał tę radę. Znasz ją także, jeśli śledzisz mój kanał na YouTube. Być może jednak zastanawiasz się, co te słowa tak naprawdę oznaczają. Jak krok po kroku uczyć się języków obcych?

O tym właśnie jest ta książka.

Czas, żebym przekazał pałeczkę w twoje ręce.



Podobał Ci się pierwszy rozdział?

Kup książkę tutaj:

<https://sekretypoliglotow.pl/zdania>

Do wyboru wersja papierowa w twardej oprawie lub e-book w formacie epub